

# Nieludzka „Ziemia obiecana” w Teatrze Nowym w Łodzi

[Łukasz Kaczyński](#) 7 grudnia 2015 16:00, [www.dzienniklodzki.pl](http://www.dzienniklodzki.pl)

„Niech tam to miasteczko Łódź mór nie minie, niech ją ta ogień spali, niech im tam Pan Jezus niczego nie żałuje, co by wszystkie wyzdychały, co do jednego” - mówi Wdowa po robotniku do Borowieckiego w pierwszej scenie „Ziemi obiecanej” Remigiusza Brzyka w Teatrze Nowym. Jej słowa są jak klątwa rzuca na miasto u szczytu fabrycznego rozkwitu. Ale Wdowa (Kamila Salwerowicz) zbliżając się na kolanach trafia słowami przede wszystkim w widownię, jakby podstawiła jej lustro: zniecie to miasto, czy jego duch zmienił się przez wiek?

Wobec tamtych łodzian dzisiejsza widownia musi się określić raz jeszcze, podczas sceny w teatrze zakończonej rechotem fabrykantów ze spektaklu, którym jest praca krosien napędzana rękami pracowników technicznych Teatru. Niemniej to kluczowa dla Brzyka kwestia, bo choć przedstawienie korzysta z realiów powieści, to dzieje się poza konkretnym czasem - także dzięki znakomitej, metaforycznej, optycznie i plastycznie chłonnej w sensy, połączonej ze światłem scenografii Igi Słupskiej i Szymona Szewczyka, gdzie napędzające fabrykę krosna za tło mają nie bele materiału, ale wieszane na stelażach gotowe koszulki, chińską tandetę, współczesną szwalnię lub lumpeks.

Monolog Wdowy jest wstrząsający, bo jest pozostałością dialogu z Borowieckim (Michał Bieliński), w którym zostaje zlekceważona. Jest też zwieńczeniem inscenizatorskiego, konsekwentnie i czysto prowadzonego pomysłu. Zaczyna się od Borowieckiego, który też adresuje swoje opinie wobec widowni, potem niby do Wdowy, ale usuwa się, by mogła ona - jak czarna óma - mijając krosna zbliżyć się z dzieckiem w tobołku i wyrzucić swój ból w twarz widowni. Sama, ale jako symbol tysięcy ofiar nieludzkiej „ziemi obiecanej”.

Zamiana w zwierzę, pozbawienie cech ludzkich - Brzyk często ten proces podkreśla, co bliskie jest Reymontowi widzącemu w swych bohaterach kółka większej fabryki. Zdehumanizowani przez pozbawienie cech ludzkich są biedacy wszystkich nacji, owinięci w koce i pledy, niby w modlitewne żydowskie tality. Za znakomite uznać trzeba powiązanie robotników do jeszcze nie odwinętych z folii sprzętów (które noszą), o których Muller (Dariusz Kowalski) mówi, że stoją nieużywane - ich praca pozbawiona jest użyteczności. Wdowa zaś powraca, jako milcząca zjawą, jako echo cierpiących - którym naznacza Borowieckiego. Takie posługiwanie się metaforami i znakami, ale też uruchamianie całej szerokości i głębokości Dużej Sceny, to ogromne walory „Ziemi...” Brzyka, który zbudował ją na mających wyraźny rytm scenach, z których każda ma swe zwieńczenie, wnosi nowe sensy do portretu łódzkiej zbiorowości i obrazu miasta. Dostaliśmy znakomity teatr, wolny od modnych dyskursów i terroru teorii, ujmujący estetyką.

Teatr w swej istocie (łatwiej niż film) pozwala stworzyć bohatera zbiorowego. Aby nie dowartościować Borowieckiego, w tło usunięta została jego żydowska kochanka Lucy (Joanna Król), naznaczona rozbuchaną seksualnością Kaliny Jędrusik. Wyzwaniem było uwolnić Madę Muller od filmowego wyobrażenia. Udało się. W swej przesadnej aktywności jest do granic dziecinna i naiwna, może też lekko upośledzona - być może przez trzymanie pod kluczem przez ojca. To jego największy skarb. Dzięki niej połączy swój biznes z biznesem wybranego dla Mady męża. Najważniejsze, że jako ukochana księżniczka tatusia traktuje fabryki jak zamki. Między zamkami nie dostrzega mas robotników - jej ślepotą jest dziedzictwem statusu; i jej dzieci będą jeszcze bardziej ślepe. Tak prowadzonych ciągów myślowych jest w „Ziemi...” wiele i dlatego chce się ją obejrzeć nie jeden raz.

Oglądając zaś trafnie obsadzonych aktorów „Nowego”, wspaniałych wypełniającą ich energią, nie ma się wątpliwości, że oto znaleźli swojego reżysera. Swojego, czyli takiego, który wie jak uruchomić w nich rzeczy nieprzeciętne, pozwolił na wiele wolności, na przegładanie się aktorów/postaci w sobie nawzajem, a jakość przedstawienia wypracował z roboty zespołowej. Młodzi aktorzy dostali szansę i stworzyli najlepsze swoje na tej scenie role, osadzone w założeniach przedstawienia. Tak jest m.in. z Delfiną Wilkońską (Mada) i Adamem Kupajem (Moryc Welt), choć trudno orzec dlaczego w przebiegu spektaklu coraz bardziej „gra Pszoniakiem”. Dobrze poprowadzeni są Wojciech Bartoszek jako Bucholc oraz Michał Bieliński, którego Borowiecki to „człowiek bez właściwości”, odrzucił szlachecką przeszłość, chce pieniędzy dla nich samych.

Mocny efekt daje obsadzenie Beaty Kolak jako zubożalej Wysockiej oraz Wdowy po Szai Mendhelsohnie (który pierwszy w Łodzi zaczął produkować tandetę) - Kolak łączy w nich z jednej strony pomieszanie myśli towarzyszące końcowi szlacheckiego świata, z drugiej nacjonalizm bogatych żydów. Brzyk i Michał Kmiecik, autor adaptacji powieści, idą bodaj odważnie dalej - ich bohaterów nie trują dymy z fabryk, ale rasizm: polski, żydowski i niemiecki, powodowany interesami lub na nie rzutujący. Wysocka z obrzydzeniem myśli o łączeniu krwi polskiej z żydowską, żydzi cieszą się z „klątwy” Mendhelsohna, który robotników skazał na biedę, a miastu dał opinię bezwartościowego i niepoważnego. Młody Mendhelsohn (Bartosz Turzyński) łączy pogardę dla Polaków z podziwem dla ich fantazji. Groslik (Dariusz Kowalski) nie da Borowieckiemu kredytu, by ten nie rósł w siłę i nie dopuścił do rynku innych Polaków. Taki to tygiel kultur.

Nie znaczy to, że „Ziemia...” jest przedstawieniem idealnym. W kilku scenach reżyser przesadnie nadbudowuje znaczenia, choćby w „tanecznej” scenie w pałacu Mullera niepotrzebnie steruje on ruchem z gwizdkiem w ustach. Ruchy rąk są wystarczająco wymowne. Zbędna bywa obecność Zoraka, który siedzi i beatboxuje, często w roli „wypełniacza”. Są tu też uproszczenia, jak zmarginalizowanie bardziej niejednoznacznych postaci, pozbawienie Borowieckiego pewnych szlacheckich atrybutów, co skomplikowałoby „klasową” wymowę realizacji (podaną bardzo fair przez twórców). Zło w powieści jest też bardziej migotliwe, nieoczywiste, chwilami fascynujące - dlatego też tak upowszechnił się frazes jakoby „lodzermensch” był pochwałą łódzkiej zaradności. Otóż po tej „Ziemi...” może wreszcie skończy się takie nim posługiwanie.

W „Ziemi...” Brzyka intryguje toczenie dyskusji o tym, czym naprawdę jest i jaka była Łódź. Spotworzyła karykaturą miasta czy cudem? Zderzone są racje Borowieckiego, Halperna (znakomity Dymitr Hołówko) i Myszkowskiego (Wojciech Oleksiewicz) i w zależności od kondycji aktorów na każdym z przedstawień racje układają się inaczej. Ale negocjowanie odbywa się w szerszym planie, „na żywo”, przez motywacje postaci, które zderzane są w przebiegu spektaklu przez obsadzenie tych samych aktorów w kilku rolach. Tak jest z Oleksiewiczem, który jako Papuga zmarłego Bucholca staje się narratorem jego pogrzebu, a jako Myszkowski, outsider porzucający materialistyczne życie i domagający się w Łodzi obiegu myśli (i to już czysto subiektywna opinia), jawi się jako porte-parole Zdzisława Jaskuły, poety, wspaniałej osobowości, zmarłego niedawno dyrektora „Nowego”, który premierę „Ziemi...” zaplanował. Cieszyłby się z niej.